

## Rozdział 7

### Picie w samotności

Tamtej jesieni, po tym, gdy David przeniósł się do Chicago, gdy moi rodzice omal się nie rozeszli i gdy powiedziałam Rogerowi „żegnaj”, nauczyłam się pić w samotności. Wtedy właśnie moją siostrę zaczęło martwić moje picie – miało upłynąć ponad dziesięć lat, zanim je rzuciłam. Pewnego dnia przyszła do mnie, otworzyła lodówkę i zobaczyła wielką, już prawie pustą, butlę białego wina.

– Wypiłaś to wszystko sama? – spytała.

Popatrzyłam na nią badawczo, nie bardzo wiedząc, w czym właściwie problem.

– Jasne – odparłam. – Dlaczego nie?

W miarę dalszych postępów w picciu stałam się bardziej dyskretna. Tak samo zachowywała się większość znanych mi alkoholików – ukrywaliśmy, co pijemy, kiedy, ile i w jakich okolicznościach. Ukrywaliśmy to przed rodziną i przyjaciółmi, a często zadawaliśmy sobie wiele trudu, żeby to ukryć przed zupełnie obcymi osobami.

Mój przyjaciel Max mówił sprzedawcom w sklepach monopolowych, że potrzebuje brandy do przyrządzania sufletów Grand Marnier. Kupował ją kilka razy w tygodniu. Podchodził do półki z bączkami, które zwykle stoją przy kasie, wskazywał buteleczkę brandy i pytał: „Czy to będą dwie łyżki stołowe? Tyle potrzebuję do sufletu”. A potem wychodził z trzema czy czterema bączkami upchniętymi w torbie. Kiedy mi o tym opowiedział, natychmiast

zrodziło się we mnie poczucie więzi z Maxem, ponieważ ja również tak robiłam. W końcowym okresie picia, kupując małe buteleczki Hennessy, które chowałam w kieszeniach szlafroka, pytałam o nie mimochodem, jak gdybym właśnie przypomniała sobie, że przepis na jakąś potrawę wymaga kropelki koniaku. „Aha – mówiłam – potrzebuję jeszcze parę takich buteleczek koniaku... czy to Hennessy? Tak, poproszę dwie”.

Na wielu mityngach AA słyszałam niezliczone wersje tej opowieści. Moja przyjaciółka Meg udawała, że robi zakupy przed proszoną kolacją. Podchodziła do sprzedawcy i pytała z namysłem: „Jaki rodzaj wina polecałby pan do kaczk?” A potem opuszczała sklep ze skrzynką wina, kilkoma butelkami wódki i szkockiej oraz napojami używanymi do drinków. Wielu z nas odwiedzało każdego dnia inny sklep, czasami jadąc spory kawał drogi do nowego miejsca, żeby ukryć przed sprzedawcami ogrom naszych potrzeb. Tu dwie butelki, tam dwie, jeszcze gdzieś indziej skrzynka.

Recykling jest dla czynnego alkoholika problemem – musisz patrzeć na te wszystkie butelki piętrzące się w pojemniku, a taki obraz bywa niepokojący. Na szczęście w okresie samotnego, alkoholicznego picia mieszkałam w okolicy, w której jeszcze wtedy nie segregowano śmieci, więc ładowałam butelki do dużego, mocnego, plastikowego worka i wywlekałam go na ulicę albo zносиłam do Dumpstera, mając nadzieję, że nikt nie usłyszy brzęku i grzechotu szkła. Czasami przez dwa lub trzy tygodnie nie pozbywałam się dowodów rzeczowych. Trzymałam butelki w pustych skrzynkach w szafce pod kuchennym zlewem, a gdy robiło się tam zbyt ciasno, wymykałam się nocą z mieszkania, dzwigając dwa ogromne, ciężkie wory.

Alkoholik z natury pije samotnie, a prawdziwy charakter tego picia pozostaje ukryty przed światem zewnętrznym i do pewnego stopnia przed samym pijącym. Myślisz, że pijesz dla przyjemności, dla towarzystwa albo po to, żeby się odprężyć. Ale pijesz także po to, żeby zamknąć się w sobie, wycofać.

Na jednym z mityngów pewna młoda kobieta opisywała irytację i niepokój, jakie odczuwała w obecności innych osób przy tych rzadkich okazjach, kiedy nie piła. Była trzeźwa od niedawna, zaledwie od paru dni; powiedziała, że picie po prostu usuwało to uczucie rozdrażnienia i przestawała się przejmować ludźmi, ich zachowaniem i tym, co myślą. „Jeśli mam butelkę – mówiła – to jest tak, jakbym mogła wśliznąć się w kokon”.

Wiele głów w sali kiwnęło potakująco, słysząc te słowa. Dla wielu osób brzmiało to znajomo. Ludzie z AA często mówią o alkoholu jako najlepszym przyjacielu i mówią tak z najgłębszym przekonaniem – gdy pijesz, trunk odgrywa rolę kochanka lub wiernego towarzysza. Czeka w lodówce, na blacie albo w szafce niczym żywa istota, bliska i niezawodna jak najlepszy przyjaciel. W końcowym okresie, kiedy zaczęłam chować po kątach butelki szkockiej i upychać bączki brandy w kieszeniach szlafroka, zachowywałam się jak dziecko, które odczuwa strach, jeśli nie ma przy sobie ulubionego kocyka albo pluszowego misia. „Ochronń mnie. Nie pozwól, bym znalazła się sam na sam z własnymi myślami”.

Alkohol często bywa partnerem o wielu obliczach – oprócz prawdziwej miłości, czyli trunku, do którego powracasz najchętniej i najczęściej, miewasz jeszcze przelotne romanse, dalsze znajomości, a nawet (choć rzadziej) paru wrogów. Mój przyjaciel Kenny był wierny bourbonowi, przynajmniej pod koniec – kupował go skrzynkami i popijał samotnie w domu, słuchając oper. Jeden z moich znajomych, Bobby, wołał wódkę – kochał ją od siedemnastego roku życia, kiedy to nabył pierwszą flaszkę w Concord, New Hampshire. Zaczepił jakiegoś mężczyznę przed sklepem monopolowym i poprosił go o kupienie butelki smirenoffa. „Masz na myśli smirnoffa?” – upewnił się facet, a Bob odparł: „Hm... no tak. A co ja powiedziałem?”. Są różni alkoholicy, uzależnieni od piwa, od szkockiej, od bourbona, a także tacy, którzy piją wyłącznie drogie czerwone wino. Wielu z nas zmieniało partnerów w zależności od pory roku, skłaniając się zimą

ku ciemnym, rozgrzewającym trunkom, a latem ku jasnym drinkom o cytrusowym posmaku, jak gin z tonikiem albo rum z lodem i plasterkiem limony.

Ja byłam uzależniona od białego wina. Pod koniec złapałam prawie wszystko, ale jeśli miałam wybór, piłam orzeźwiająca, schłodzone, wytrawne białe wino, francuski sauvignon blanc albo chardonnay z winnic północnej Kalifornii. Zawsze pokrzepiał mnie widok stojącej na półce w lodówce butelki białego wina, pokrytej kropelkami wilgoci, z ostrymi, barwnymi prostokątami nalepek na tle jasnożółtego płynu. Dzisiaj mogę usiąść w restauracji, przyglądać się ludziom sączącym zimne piwo z ciemnych butelek albo wódkę czy gin z niskich, szerokich szklanek i nie porusza mnie to specjalnie. Ale jeśli obok przechodzi kelnerka niosąca smukły kieliszek białego wina, sześć czy osiem uncji płynnego ukojenia, moje serce zaczyna bić nieco szybciej i łapię się na tym, że odprowadzam kieliszek tęsknym spojrzeniem, takim, jakim obdarza się zdjęcie ukochanej osoby, którą się straciło.

Latem 1981 roku, po ukończeniu college'u, wprowadziłam się do jednopokojowego mieszkanca we wschodniej dzielnicy Providence, słonecznego, wysokiego i z działającym kominkiem. Tam właśnie zakochałam się, szczerze i głęboko, w białym winie. Czułam się w tym mieszkaniu niemal jak osoba dorosła – zaczęłam żyć na własny rachunek – ale było to w dużej mierze wrażenie powierzchowne, skutek prostych czynności, takich jak przekręcanie klucza w drzwiach, stukanie wysokimi obcasami po drewnianej podłodze, stawianie na kuchennym stole torby z zakupami. A może, w jeszcze większym stopniu, wyjmowanie z lodówki butelki chardonnay, wyciąganie korka i nalewanie wina do wąskiego kieliszka. Te czynności wydawały mi się czymś bardzo wyszukany – nalewanie wina, rozpalanie w kominku, rozsiadanie się na sofie z czasopismem do przejrzenia – i układały się w obiecujący, bezpieczny rytuał, kodeks postępowania wiodący prosto do niezależności.